

## **TRZY ANIOŁY STRÓŻE.**

Jest taki obrazek, jak anioł stróż przeprowadza za rękę dziecko przez kładkę nad rwącym potokiem. Otóż nie dzieckiem, lecz 28 latkiem będąc, doświadczyłem pomocy trzech aniołów stróżów, a może jednego pod trzema przedstawieniami; Tadzia, złodzieja z Woli, Lorda Jima z książki i wirusa żółtaczkę nie wiadomo skąd. Rok był 1968.

10 marca, tuż po szóstej rano, zapukano do drzwi naszego mieszkania w ursusowskim bloku. Dwa dni wcześniej milicja i "aktyw robotniczy" rozbili brutalnie wiec na Uniwersytecie Warszawskim, zaczynały się wydarzenia marcowe. W drzwiach stało dwóch panów w kapeluszach i ortalionowych płaszczach. Powiedzieli, że są z Komendy Stołecznej MO i mam się z nimi udać na przesłuchanie. Uspokajali, że na pewno zaraz wrócę. Zaraz trwało pół roku. Przy osiedlowej uliczce czekała "Warszawa". Pierwsze dwa dni przesiedziałem w piwnicy Pałacu Mostowskich. Spotkałem tam dobrych znajomych Aleksandra Smolara i Stanisława Gomułkę. Zapamiętałem zupę pomidorową z makaronem i pokiereszowanego na twarzy demonstranta. Sprali go, bo tłumaczył milicjantom, że jest fryzjerem, stąd brzytwa, którą przy nim znaleźli. Nie przekonał ich, że kamienie, które miał w kieszeni służyły do jej ostrzenia.

### **Tadzio.**

12 marca w solidnym szoku, bo z sankcją prokuratorską na 3 miesiące wsadzili mnie do więziennej karetki i znalazłem się „pod celą” w więzieniu śledczym na Rakowieckiej. Było długo po zgaszeniu świateł. Wyrwane ze snu i oślepienie, spoglądały na mnie z prycz nieznanome twarze. Jedna z nich należała do anioła stróża. Po dwu dobach w mostowskiej piwnicy usnąłem błyskawicznie. Obudził mnie przeraźliwy dźwięk dzwonka, i prawie od razu usłyszałem chrzęsty kluczy w zamkach i trzaski odsuwanych zasuw, typowy początek dnia w kryminale. Z moich współtowarzyszy ważny jest tylko Tadzio, zawodowy złodziej z Woli, zwalisty, o nalanej twarzy, mógł mieć pod czterdziestkę. Spędzić miał w więzieniach Polski Ludowej już 12 lat, tak mawiał. Teraz odsiadywał siedem lat, za obrabowanie, z kumplami, 10 sklepów w jedną noc. Wpadli na jedenastym. Tadzio był naturalnym szefem celi. Marzył o wyjeździe na Zachód - „tam to bym się odku!” mówił ze śladem zazdrości i – uzupełniał - „wyroki są małe”. Sprowadzono go z więzienia karnego na Rakowiecką, bo mieszkał w tym samym bloku, niedaleko sądów, w którym znaleziono zwłoki zamordowanego syna Bolesława Piaseckiego. W roku 1968 śledztwo wznowiono, pewno w nadziei, że uda się mord przypisać żydom. Nie wiem, czy Tadzio spędził 12 lat w więzieniach, ale chyba spędził ich sporo, bo świadczyły o tym „więzienne stygmaty”, niemal centymetrowej grubości zrogowacenia po prawej i lewej, wewnętrznej stronie dłoni. Powstały przez miesiące, jeśli nie lata niby pompek robionych z dłońmi opartymi o spadzisty parapet więziennego okna.

Po śniadaniu w drzwiach stanął strażnik, „klawisz” i bez jednego słowa wskazał na mnie palcem. Powiniennem odpowiedzieć „Marian Waldemar Kuczyński, syn Mariana”, ale nie znałem

procedury. Nauczyli mnie. Moje nazwisko podane przez klawisza przy drzwiach mógł usłyszeć ktoś w sąsiedniej celi, a w więzieniu śledczym obowiązywała pełna izolacja, stąd to dziwactwo. W pokoju piętro wyżej gdzie mnie zaprowadził, stukając o metalowe poręcze kluczem (sygnał, by nikogo innego z celi nie wyprowadzano, znów ta izolacja), było biurko. Za nim i przed nim krzesło. Na biurku maszyna do pisania, za biurkiem beczkowaty kurdupel, jak ja tylko ja wtedy nie byłem beczkowaty. Przedstawił się, jako kapitan Bogal, pozwolił mi usiąść odsuwając krzesło od biurka i zaczął pytać. Pytania wydawały mi się mało ważne więc odpowiadałem na nie a kapitan wpisywał odpowiedzi do protokołu. One były ogólne, ale nieważne nie były. W pewnym momencie powiedział - „No widzi Pan. Ten Jasienica to naprawdę Beynar, takie nazwisko, rozumie Pan!”. Zachnąłem się. Przerwał, odesłał mnie pod celę, bo nadeszła pora obiadu. „No i co, jak było? - spytał Tadzio. „A, nic takiego, takie nieważne pytania. I co? Kłapałeś dziobem? Jak kłapałeś dziobem, to Cię ugotują. Pamiętaj nie kłap dziobem!”. Przeraził mnie i otrzeźwił! Z niecierpliwością czekałem wezwania na górę po obiedzie, żeby naprawić to, co popsulem, jakby sam upływ czasu tę szkodę powiększał. Wreszcie siedziałem naprzeciw kapitana Bogala. Zadał pytanie, pewno pewien, że ofiara weszła na właściwą ścieżkę, do zasypania kolegów i siebie. „Odmawiam odpowiedzi” Osłupiał! Popatrzył na mnie z niedowierzaniem - „jak to?”. „Po prostu odmawiam odpowiedzi”. Zaczął krążyć wokół mnie - „to nie jest tak, jak Pan sobie wyobraził!”. Sądził, że moja reakcja to skutek jego antysemitkiej zagrywki z przed południa i ciągnął - „ja tak samo szanuję robotnika izraelskiego, jak robotnika polskiego i tak samo nienawidzę kapitalisty izraelskiego, jak..” i tu wpadł w próżnię, bo polskiego mu zabrakło. „Jak angielskiego”, dokończył po sekundzie namysłu. Parsknąłem śmiechem, wkurzył się – „pan odpowiada niewłaściwie! Mówi się odmawiam odpowiedzi ponieważ wiem, że podejrzanemu przysługuje prawo nieskładania jakichkolwiek wyjaśnień”. Pojęcia nie mam po co mi tę formułę podsunął, pamiętam ją całe życie i popołudniowa część protokołu, a jeszcze bardziej ten z następnego dnia wyglądają, po 38 latach cudownie; pytanie i formuła, pytanie i formuła, pytanie i formuła, aż mu się znudziło i odesłał mnie „pod celę”. Bardzo mi ta formuła pomagała przez całe pół roku. A jemu wtedy, i dziś czytelnikowi tych dokumentów, które dopiero co ujrzałem w bibliotece IPN po raz pierwszy od tamtego czasu, nie przyszłoby do głowy, że za zagadkową zmianą zachowania więźnia po południu, w porównaniu z przed południem stał etosowy złodziej z Woli, którego zachowałem we wdzięcznej pamięci.

### **Lord Jim.**

Więzienie siedzi człowiekowi w piersiach, jak kamień. Choćby było nie wiem, jak ludzkie, a PRL-owskie takim nie było, tłem bytu więźnia jest cierpienie i ono faluje, jak ból. Kiedy jest silne „oprawca”, czyli śledczy, tak ich wtedy nazywano, ma szansę na złamanie więźnia. Nie wierzę, by ktokolwiek przeżył czas uwięzienia bez takich groźnych dla siebie kryzysów i często kończyły się

one kapitulacją. Miałem je i ja. Z jednego, nie pamiętam co go wywołało, może nic, może samo siedzenie, wydobyl mnie lord Jim z książki Józefa Konrada Korzeniowskiego pod tym samym tytułem. Przyszedł do mnie ten anioł stróż przypadkiem i nie przypadkiem. Przypadkiem, bo na Rakowieckiej był ustalony dzień roznoszenia książek, ale o tym, jaką dostaniesz decydował los. Nie przypadkiem, bo bardzo podparcia potrzebowałem. Boże, jakże ta książka mnie wzmocniła, ta historia młodego marynarza, który wraz z dowództwem ucieka z płonącego statku zostawiając na pastwę płomieni pasażerów, o których bezpieczeństwo miał dbać. A potem pożar wygasa, statek nie tonie, pasażerowie nie giną. Zostaje sprzeniewierzenia się obowiązkowi, tchórzliwy czyn, który tropi lorda Jima przez całe życie. Nigdy nie przeczytałem książki ważniejszej dla mnie, niż ta właśnie, wszystkie inne są daleko, daleko w tyle. Kiedy już wyszedłem z paki i opowiadałem komuś starszemu ode mnie tę historię powiedział mi, że „Lord Jim” był zalecaną, a może nawet obowiązkową lekturą w szkoleniu AK-owskiej młodzieży podczas wojny. Jeśli tak było, to wiem i czuję dlaczego.

### **Wirus.**

Najgorzej siedzieć w więzieniu z myślami, które krążą poza murem. Ktoś taki prawie na pewno będzie ustrzelony przez „oprawcę”. Najlepszym sposobem trwania za kratami jest odcięcie się od świata na zewnątrz, zbudowanie psychicznego muru między nim i mną. Tamtego świata nie ma, kiedyś wróci, każdy dzień do niego zbliża, ale dziś jest tylko ten; pobudka, kostka, śniadanie, śmieci, spacer, obiad, kolacja, „apel, kima i dnia nima”. Dostyc szybko to zrozumiałem i opanowałem, choć od czasu do czasu mur się sypał i to były te kryzysy. Posadzenie mnie w marcu miało jeden dobry skutek. Podczas rutynowych badań przy przyjmowaniu więźnia wykryto u mnie gruźlicę, nabytą w czasie studiów. Przenieśli mnie do szpitala więziennego, kiedyś był to osławiony X Pawilon w którym stalinowskie bestie wykańczały ludzi. „Gdyby te ściany mogły mówić”, słyszałem takie komentarze siedząc w celi obszerniejszej, widniejszej i tylko 3 osobowej. Do tego był aż godzinny spacer, lepsze jedzenie, prawo do leżenia na łóżku cały dzień, słowem kanada. Ale byłem chory, gruźlica mnie przygniotła mimo, że jej nie czułem. Wiadomość przygniotła i Halinę, moją żonę. Było dla niej oczywiste, że trzeba złożyć wniosek o wypuszczenie mnie z aresztu i złożyła go. Dziwił bym się, zaniepokoił i może rozzłościł gdyby tego nie zrobiła. Ale oto pewnego dnia śledczy pokazał pismo Haliny o zwolnienie mnie z aresztu, powiedział, że jest rozpatrywane, no ale „Pan rozumie, to zależy też od Pana”. Wszystko stało się jasne, także to, że deska ratunku podawana mi przez Halinę stała się w rękach oprawcy dźwignią mającą podważyć i rozwalić mój upór w stosowaniu formuły wypowiedzianej przez kapitana Bogala. Wtedy już pracował nade mną niejaki porucznik Lisowski. Rzeczywiście mój mur obronny rozsypał się w mgnieniu oka. Wolność, o której nie myślałem od tygodni zamajaczyła mi na wyciągnięcie ręki. Już się widziałem za bramą i diabeł podsuwał myśl, żeby jakoś temu

wnioskowi Haliny pomóc, żeby pograć ze śledczym dając mu, oczywiście złudną wmawiając sobie, nadzieję na sukces. Stałem o krok od wywrotki, nie od wolności. Może bym jej uniknął, a może nie, nie wiem. I gdy tak czekałem, ze strachem, zaprowadzenia na przesłuchanie, otwarły się drzwi celi i zamiast klawisza, pokazał się, wracający z badania inny Tadzio, z którym teraz siedziałem, posadzony za nieplacenie alimentów. Rzucił stereotypową w więzieniu kurwą i powiedział, że on ma żółtaczkę, a my wszyscy sześć tygodni ścisłej kwarantanny w celi. Żadnych spacerów, przesłuchań, kąpieli, paka w pace. Boże, jaka to była dla mnie ulga, wojna myśli straciła sens, widmo wolności znikło za murem. Na żółtaczkę nikt z nas nie zachorował.

### **Po latach.**

Wyszedłem w połowie września 1968 roku, bez procesu. Śledztwo trwało jeszcze pół roku. Umorzili je z braku dowodów winy. W uzasadnieniu, a także w roboczych notatkach, które teraz przeczytałem, żalili się, że odmawiałem odpowiedzi. Wyszedłem wrześniowego, słonecznego dnia na ulicę Rakowiecką, z poczuciem wygranej, a szczęścia dopełnił widok studentek SGPiS paradujących w minispódniczkach, których wiosną jeszcze nie było. Potem był dom, rodzina i jeszcze większe szczęście. Żona też w minispódniczce.

Napisałem ten tekst, jako zwykłe wspomnienie po latach zachęcony lekturą kilku SB-ckich teczek, jakie na mnie założono. Dowiedziałem się też, że nadano mi kryptonim „Rosomak”. Cudny – małe, agresywne, złośliwe bydle. Dzisiaj postawiłbym wódkę esbekowi, co to wymyślił. Ale napisałem ten tekst także dla świeżych niezłomnych; tych leciwych o niezłomności nowo nabytej i młodych o niezłomności właściwej dla wieku i na szczęście bez widoków na sprawdzenie. Napisałem go po to, żeby zastanowili się zanim wydadzą na tego, czy owego wyrok, bo tego czy owego się dopuścił. Takie wyroki zapadają na ogół przy wyobrażaniu sobie, że człowiek naprzeciw Służby Bezpieczeństwa znajdował się mniej więcej w takim położeniu, jak ktoś kogo dzisiaj przesłuchuje policja. Było zupełnie inaczej i to czy wychodziło się z tej konfrontacji zwycięsko czy nie, zależało także od tego czy w momentach krytycznych znalazł się w pobliżu anioł stróż. Ja to szczęście miałem, może bym wytrzymał i bez niego, a może i nie. Inni szczęścia nie mieli i być może to dało kiedyś wygraną SB-kom, a dzisiaj okazję do łatwych nad nimi sądów i „niezłomnych” wyrokowań.

### **"Polityka" nr 32/2005**